

"Money" w życiu uczonego

Autor tekstu: **Krzysztof Szymborski**

O czym marzy każdy uczonego? Wiadomo — o Nagrodzie Nobla. W świecie nauki nie ma wyższego wyróżnienia. Szczęśliwy wybraniec staje się żywym obiektem muzealnym: od tej chwili cokolwiek powie — będzie wysłuchane i cytowane; w rodzinnym mieście uczonego w ścianę domu, w którym się narodził, wmurowana zostanie pamiątkowa tablica; zatrudniający go uniwersytet dostanie dodatkowe fundusze na badania.

Co roku z najwyższym zainteresowaniem oczekuję werdyktu Szwedzkiej Akademii Nauk i za każdym razem uświadamiam sobie przy tej sposobności, że jest coś zabawnie dwuznacznego w samej koncepcji Nagrody Nobla.

Nie chodzi mi o to, że — jak wiadomo — Alfred Nobel wynalazł dynamit i nagrodę swą ufundował po trosze dlatego, by uspokoić sumienie. Chodzi po prostu o to, że są to pieniądze. Duże pieniądze. Jak doniósł w marcu 1980 r. „Express Wieczorny”, fundusz Nagrody Nobla powiększył się w owym roku o 10 procent i o tyle większe będą wypłaty. Wyniosą 880 tysięcy koron, podczas gdy w dwóch poprzednich latach wynosiły 800 i 725 tysięcy koron. Czytam to sobie bez większego osobistego zaangażowania (nie ma Nagrody Nobla w dziedzinie historii nauki) i myślę tak: znów dostaną kupę forsy faceci, którzy jej wcale nie potrzebują i na ogół nie bardzo wiedzą, co z nią robić.

Typowy laureat naukowej Nagrody Nobla to człowiek pracujący dwanaście - szesnaście godzin, niekiedy siedem dni w tygodniu. Nie ma on szczególnie wygórowanych czy nie zaspokojonych aspiracji materialnych. Zatrudniony zwykle przez bogatą instytucję naukową (biednych nie stać na ambitne programy badawcze), otrzymuje godziwą profesorską pensję i może podróżować po świecie na koszt firmy lub korzystać z zaproszeń zaprzyjaźnionych uniwersytetów i akademii. To wszystko osiąga zwykle na długo przed wizytą u króla Szwecji, rzadko bowiem się zdarza, by Szwedzka Akademia Nauk wyróżniła mało znanego, początkującego badacza (choć i tak bywało). Rezultat jest taki, że kiedy na przykład w 1979 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki dostał (wraz z dwoma innymi badaczami) Abdus Salam, bez dłuższego namysłu przeznaczył 60 tysięcy dolarów na stypendia dla młodych naukowców.

Nie wiem, czy prowadzono badania (może raczej dochodzenia) na temat sposobu wykorzystania przez laureatów Nagrody Nobla ich nagle zdobytej fortuny. Kiedy odwiedzałem przed laty Cambridge (to angielskie, a nie amerykańskie), pokazywano mi kamienicę, jaką za szwedzkie pieniądze wybudował sobie rzekomo biochemik Francis Crick (ten od Jamesa Watsona i „podwójnej spirali”). Odniosłem wrażenie, że jego postępek traktowany był jako przejaw ekstrawagancji, jeśli nie swego rodzaju nietakt. Tradycja okazywania wzniosłej bezinteresowności wobec wyróżnienia Szwedzkiej Akademii od początku była niepisana zasadą. Kiedy Johannes Stark, laureat w dziedzinie fizyki na rok 1919, zainwestował swą nagrodę w dochodowe przedsięwzięcie, wielu fizyków niemieckich uznało to za sprzeniewierzenie się duchowi Nagrody Nobla. Fundacja Nobla nigdy co prawda nie ograniczała form dysponowania rozdawanymi przez nią pieniędzmi, jednak nawet sam Stark nie kwestionował zasadności poglądu, że próba wzbogacenia się poprzez ich korzystne zainwestowanie jest nieetyczna.

Jednym słowem Nagroda Nobla to są pieniądze (całkiem duże), które należy przyjąć z dumą, a następnie przeznaczyć na jakiś zbożny cel. W czasach Marii Skłodowskiej-Curie celem takim, najbardziej oczywistym, było finansowanie dalszych badań. Dziś nawet za te pieniądze niewiele można by zbadać, państwa przeznaczają na naukę już nie dziesiątki tysięcy, ale miliony i miliardy dolarów. Sytuacja laureata jest więc kłopotliwa: koledzy patrzą, nie wiadomo właściwie, co zrobić z tymi pieniędzmi — schować do kieszeni czy przeznaczyć na rozwój oświaty wśród Zulusów?

Można by w tym momencie zapytać: po co w takim razie w ogóle dawać te pieniądze? Skoro sława laureata Nagrody Nobla jest warta więcej niż jakiejkolwiek pieniądze, może wystarczyłby dyplom ręcznie malowany na czerpanym papierze i królewski uścisk dłoni? Mam jednak trudne do uzasadnienia przecucie, że Nagroda Nobla nie byłaby tak znakomitym wyróżnieniem, gdyby nie działające na wyobraźnię tłumy liczby. Może jest to trochę tak, jak z tym zakupionym przez jedno z australijskich muzeów obrazem, o którym opowiadał kiedyś Wiktor Osiatyński. Obraz ów wzbudzał zainteresowanie, a potem zachwyty publiczności dlatego

tylko, że wiadomo było, iż zapłacono za niego 2 miliony dolarów. Poza wszystkim był to zupełnie dobry obraz...

Zaczęliśmy od przypadku ekstremalnego — od Nagrody Nobla, którą otrzymuje w końcu nieliczna mniejszość uczonych. Tymczasem wszyscy badacze muszą z czegoś żyć. I tu napotykamy paradoks nie niniejszy niż „paradoks Nagrody Nobla”. Jego istotę najtrafniej chyba sformułowała słynna ze swej bezinteresowności i skłonności do ascezy Maria Skłodowska-Curie. W swej „Autobiografii” pisała: „Ludzkość potrzebuje zapewne ludzi praktycznych, którzy pracują przeważnie dla własnych celów, chociaż pamiętają też i o potrzebach ogółu. Lecz potrzebuje również marzycieli, których bezinteresowne dążenie do celu jest tak potężne, że nie potrafią oni zwracać uwagi na własną korzyść materialną. Można by wprawdzie powiedzieć, że ci idealisci nie zasługują na bogactwo, ponieważ go nie pragną. Zdaje się jednak, że dobrze zorganizowane społeczeństwo powinno by zapewnić tym marzycielom odpowiednie środki do skutecznej pracy, uwalniając ich od trosk materialnych, ażeby mogli oddać się całkowicie służbie nauki”.

Na temat tego, co należy się uczonym od społeczeństwa, podobne zdanie miał także niemiecki chemik Richard Willstätter (Nobel 1915), który na zadane sobie pytanie: „Czy duchowi przewodnicy ludzkości powinni prowadzić życie książęce, czy też powinni się zadowalać uposażeniem średniego urzędnika?” — odpowiada: „Mnie się wydaje, że należy uczonych uwalniać od trosk materialnych, ba — nawet od wszelkich myśli o pieniądzech”.

Być bezinteresownym marzycielem, a jednocześnie zdobyć fortunę — to prawie tak, jak mieć dzieci i pozostać dziewicą. Już na pierwszy rzut oka widać, że jakiś kompromis jest tu nieuchronny. Z czego żyli i jak żyli uczeni w czasach naszej słynnej rodaczki? Mówiąc krótko — różnie bywało. Pod koniec XIX w. zajęcie badacza zaczynało być zawodem, nie przestając być powołaniem. Zgódźmy się, że powołaniem dostępnym znacznie łatwiej bogatym. O wielu wybitnych uczonych, takich jak Henry Cavendish, Lavoisier, Pierre-Simon de Laplace czy lord Rayleigh, można by słusznie powiedzieć, że „społeczeństwo zapewniło im odpowiednie środki do skutecznej pracy”, obdarzając po prostu dziedzicznymi majątkami. Dane na temat znaczenia, jakie dla uczonego z przełomu XIX i XX w. miała pomoc rodzicielska i bogactwo wyniesione z domu, są dość skąpe. Niemniej jednak kompetentni znawcy dziejów nauki twierdzą, że zwłaszcza w dwóch krajach bardzo wysoki procent badaczy pochodził z zamożnych rodzin — w Stanach Zjednoczonych i Niemczech. Tylko że — co zdać się może jeszcze jednym paradoksem — przyczyny tego były w owych dwu przypadkach diametralnie przeciwne. W Niemczech zawód nauczyciela akademickiego cieszył się wyjątkowo wysokim prestiżem i był godny potomka najlepszego rodu; w Stanach Zjednoczonych odwrotnie, prestiż uczonego był bardzo niski i jak ktoś już koniecznie chciał nim zostać, to musiał być bogaty z domu, bo inaczej nie zarobiłby na życie.

Tak oto jeszcze raz potwierdza się prawda, że „gdy mówimy prestiż, myślimy o pieniądzech”. Wysoki prestiż uczonego w społeczeństwie niemieckim drugiej połowy XIX w. także przeliczał się na liczbę marek rocznego dochodu. O tym, jak sobie uczeni niemieccy radzili i co z tego wynikało, opowiem za chwilę. Na razie chciałbym wysunąć ryzykowną hipotezę, że obowiązująca w środowisku naukowym nonszalancja wobec pieniądza (mam wciąż na myśli naukowców sprzed wieku, ale pod tym względem obraz nauki mało się zmienił) miała swe źródło w społecznym pochodzeniu znacznej części adeptów tego zawodu. Na bezinteresowność najłatwiej zdobyć się ludziom, którzy nigdy nie zaznali biedy.

Biografie uczonych roją się od anegdot opowiadających o tym, jak z lekkim sercem rezygnowali oni z możliwości zdobycia wielkiego majątku przez opatentowanie swych wynalazków. Tak postąpił słynny Adolf Baeyer (Nobel 1905, pierwsza synteza sztucznego barwnika), Robert Bunsen, Pierre Berthelot, Humphry Davy i, oczywiście, małżonkowie Curie. Byli jednak, wcale liczni, uczeni, którzy bardzo starali się na swych badaniach zrobić dobry interes. Niektórym się to udało. Jacobus van't Hoff, wybitny holenderski fizykochemik, jeszcze jako uczeń liceum urządzał dla kolegów płatne pokazy, a zebrane tym sposobem pieniądze przeznaczał na aparaturę i chemikalia. W 1901 r. został pierwszym laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie chemii. Niezłe pieniądze zrobił na swych badaniach Walther Nernst, który za patent na wynalazone przez siebie włókno żarówki otrzymał od Anglików 4 miliony marek, w czasach gdy pensja asystenta wynosiła tysiąc do 2 tysięcy marek rocznie. Znany ze swej zapobiegliwości lord Kelvin był właścicielem wielu dochodowych patentów i prywatnej firmy produkującej instrumenty naukowe. James Clerk Maxwell podejrzewał go, że tylko dlatego nie ogłosił wielu swych odkryć naukowych, iż pragnął zrobić na nich majątek.

Miałem jednak zająć się uczonymi niemieckimi z przełomu wieków XIX i XX.

Jak we wszystkich innych krajach asystent zaczynał tam skromnie. Wymieniona wyżej pensja zapewniała mu — według słów Maxa Webera — status „quasi-proletariusza” w „państwowym przedsiębiorstwie kapitalistycznym”. Miał jednak szansę, dożywszy lat trzydziestu siedmiu i pół (taki był średni wiek mianowania), zostać profesorem z pensją rzędu 10 tysięcy marek rocznie. Dla wykształconego człowieka trudno było o bardziej atrakcyjną karierę. Profesor należał do warstwy, którą dziś nazywamy wyższą. W Prusach na przykład zaledwie niecały 1 procent populacji miał w 1900 r. dochody przekraczające 9500 marek. Znacznie już gorzej miał się profesor amerykański, który w owym czasie nie mógł zarobić więcej niż początkujący lekarz lub prawnik.

Niemiecki *Professor Ordinarius* miał inne jeszcze przewagi nad swymi zagranicznymi kolegami. Pensja jego w pierwszych latach naszego wieku, w latach powolnej, ale wyraźnej inflacji, rosła znacznie szybciej niż ceny. Mało tego — niemiecki profesor zwyczajny wysokość swych dochodów ustalał podczas negocjacji z odpowiednim ministrem miejscowego rządu krajowego; jeśli był badaczem wysoko cenionym i wiedział o tym, mógł zapewnić sobie pensję kilkakrotnie wyższą od średniej. Jeśli z kolei na wykłady jego uczęszczało wielu studentów, to z czesnego mógł zbierać dalsze 10 tysięcy marek rocznie. Do tego można jeszcze dodać, że posada profesora zwyczajnego wiązała się z prawem korzystania ze służbowych apartamentów, budowanych na koszt państwa i znajdujących się zwykle na terenie uczelni.

Jakie były konsekwencje tego bałwochwalczego niemal stosunku do nauczycieli akademickich? Oczywiście zdarzało się i tak, że zmieniając katedrę profesor bardziej interesował się wysokością pensji, wielkością mieszkania służbowego, dodatkami funkcyjnymi niż awansem naukowym. W sumie jednak nauka niemiecka do pierwszej wojny światowej rozwijała się nieźle, a nawet znakomicie. Tu właśnie powstała chemia organiczna i fizyczna, tu narodziła się teoria kwantów i rozwinęła teoria względności — nie mówiąc już o naukach społecznych i humanistycznych.

Tymczasem minęły lata, nadeszła druga połowa XX w. i w sytuacji uczonych zaszły istotne zmiany. Szanuje się ich za to, że tak bardzo zmienili otaczający nas świat, krytykuje, że zmienili go niezupełnie w taki sposób, jak byśmy sobie tego życzyli. Ale właściwie, na skutek ogromnego rozwoju nauki, zawód uczonego spowszedniał. Uniwersytety nie budują już apartamentów dla wszystkich swych profesorów, a liczba studentów (przynajmniej w naszym kraju) nie ma wpływu na dochody wykładowców. W wielkim kraju na Dalekim Wschodzie popularna stała się nawet w pewnym okresie koncepcja głosząca, że praca umysłowa — a więc tym bardziej naukowa — jest tak ogromną przyjemnością, że nie powinno się za nią płacić. Świat jest olbrzymim systemem naczyń połączonych, o czym świadczy fakt, że owa koncepcja, zrodzona gdzieś nad Żółtą czy Niebieską Rzeką, zaczęła po pewnym czasie być powoli „wdrażana” nad Wisłą. Przed kilkunastu laty średnia pensja w gospodarce społecznej zbliżona była do 2500 złotych i odpowiadała pensji asystenta. W roku 1980 średnia ta wzrosła dynamicznie do około 5 tysięcy złotych, czyli do przeciętnej dochodów adiunkta. Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć, ile jeszcze upłynie czasu, zanim średni dochód Polaka sięgnie profesorskich poborów.

Warunki, w jakich dziś znajdują się polscy uczeni, sprzyjają właściwie „uwolnieniu od wszelkich myśli o pieniądzu”. Takim jak uwolnienie pewnej dorożkarskiej szkapy od wszelkiej myśli o jedzeniu. Tylko szkapa, jak wiadomo, zdechła, a uczeni — tak na oko — jakoś sobie radzą. To trafi się jakiś wyjazd do ciepłych krajów, to korepetycje, to znów artykuł do gazety napiszą...

*

Tekst pochodzi ze zbioru *Oblicza nauki* (Warszawa 1986). Publikacja w *Racjonalistcie* za zgodą Autora.

Krzysztof Szymborski

Historyk i popularyzator nauki. Urodzony we Lwowie, ukończył fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Posiada doktorat z historii fizyki. Do Stanów wyemigrował w 1981 r. Obecnie jest wykładowcą w [Skidmore College](#) w Saratoga Springs, w stanie Nowy Jork.

Jest autorem kilku książek popularnonaukowych (m.in. ["Na początku był ocean"](#), 1982, ["Oblicza nauki"](#), 1986, ["Poprawka z natury. Biologia, kultura, seks"](#), 1999). Współpracuje z ["Wiedzą i Życie"](#), miesięcznikiem



"Charaktery", "Gazetą Wyborczą", "Polityką" i in.

Dziedziną jego najnowszych zainteresowań jest psychologia ewolucyjna, nauka i religia. Częstym wątkiem przewijającym się przez jego rozważania jest pytanie o wpływ kształtowanych przez ewolucję czynników biologicznych i psychologicznych na całą sferę ludzkiej kultury, a więc na nasze zachowania, inteligencję, życie uczuciowe i seksualne, a nawet oceny moralne.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 07-12-2004 Ostatnia zmiana: 10-12-2004)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3801) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3801>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl